



FIGURY  
BEZ PLANSZY

PAULINA STRÓŻAŃSKA

# **FIGURY**

## **BEZ PLANSZY**

Tom 2

Paulina Strózańska

## Drodzy Czytelnicy!

Zanim zaczniecie lekturę, chcielibyśmy uprzedzić Was o kilku ważnych kwestiach.

Książka, którą trzymacie w rękach, przeznaczona jest wyłącznie dla osób pełnoletnich (18+). Zawiera wątki, które mogą być emocjonalnie trudne i poruszać bolesne tematy. Choć stanowią one część fabuły, mamy pełną świadomość, że każdy odbiorca ma własne granice i poziom wrażliwości, które zasługują na szacunek.

W treści pojawiają się motywy takie jak:

- \* handel ludźmi;
- \* przemoc fizyczna;
- \* morderstwa i tortury;
- \* poronienie;
- \* stalking.

Jeśli którykolwiek z tych tematów może okazać się zbyt obciążający, warto zrobić przerwę, sięgnąć po coś lżejszego, dać sobie czas – a jeśli trzeba, po prostu zrezygnować z czytania tej powieści.

Dziękujemy, że jesteście z nami!

Paulina Stróżańska  
Wydawnictwo Sabat

Jeśli Ty lub ktokolwiek, kogo znasz, doświadcza kryzysu emocjonalnego i potrzebuje wsparcia – oto lista bezpłatnych numerów, pod którymi można otrzymać niezbędną pomoc:

116 123 – telefon zaufania dla dorosłych w kryzysie emocjonalnym (czynny całą dobę).

116 111 – telefon zaufania dla dzieci i młodzieży (czynny całą dobę).

800 108 108 – telefon wsparcia (od poniedziałku do niedzieli, 14:00–20:00, z wyłączeniem dni świątecznych).

121 212 – telefon zaufania dla dzieci i młodzieży Rzecznika Praw Dziecka (czynny całą dobę).

Czasem jedna rozmowa wystarczy, by poczuć się choć trochę pewniej we własnym życiu. Nie trzeba przez to przechodzić w pojedynek.

*Dla tęskniących za zemstą.  
Niech ta historia będzie przypomnieniem, że wszystko ma swoją cenę.*

# Część pierwsza

## CISZA

„Kto umie czekać, wszystkiego się doczeka”.

William Szekspir, *Romeo i Julia*

# **Rozdział 1**

## **Hudson**

– Pałac Albejski poinformował o niespodziewanej chorobie następcy tronu, Ranalda von Grina. Treść oświadczenia...

Resztę komunikatu spikera skutecznie zagłuszają odgłosy kotłowania się Masona z Mateo.

Przenoszę spojrzenie z płataniny ciał na macie na głośniki umieszczone w rogu sali treningowej. Kątem oka dostrzegam ukradkowe spojrzenia, które w moim kierunku rzuca Amanda. W przeciwnym rogu Dakota okłada pięściami worek treningowy z taką siłą, że cały się trzęsie.

Niespodziewana choroba Ranalda?

Nie słyszę nic więcej, bo Mateo i Mason warczą jak lwy wypuszczone na wolność po latach trzymania w klatce. Powoli wracam spojrzeniem na tę dwójkę, złączoną w patowej konfiguracji. Mason zaciska uda wokół głowy Mateo, a ten oplata dłonie na jego szyi. Nad nimi wisi Jason i przygląda się im z uwagą, czekając na to, który odklepie się pierwszy.

Przetykam ślinę. Przed moimi oczami pojawia się scena z domku nad jeziorem. Oddech zaczyna przyspieszać, powieki mimowolnie opadają, przywołując obraz zakrwawionego ciała Blake'a Andersona. Jego pustego wzroku skierowanego w sufit. Dłoni, które tak chętnie mnie obłapiały, a potem leżały bezwładnie. Martwe.

Widzę, jak Mason i Blake walczą. Prawdziwie, na śmierć i życie. Gdyby nie nóż, który Mason wyciągnął, Bóg jeden wie skąd...

Gdzie teraz bym była?

Nie miałabym nawet szansy przytulić do piersi jego sztywnego ciała.

Drzę. Czuję osobliwy zapach sali treningowej. Mieszanki potu, skóry, bandaży i lawendowej mgiełki z dyfuzora, który pojawił się tu tylko ze względu na mnie. Moje ciało stoi w tym miejscu, jednak umysł grzęźnie w przeszłości.

Oddech pali w płuca, zaciskam kurczowo pięści. Słuch już nie rejestruje żadnych dźwięków, poza szumem własnej krwi.

*Bum, bum, bum.*

Huk wystrzału.

*Bum.*



Krew płynąca po mojej skroni.

Brązowe oczy pod kominiarką.

Bastard smakujący moją krew.

– Wróć – mówi mój przybrany brat.

Jego obnażone zęby błyszczą na czerwono.

Otwieram usta, krzyk nabrzmiewa mi w gardle. Powietrze wokół wypełnia się zapachem leśnych igieł, na zaciśnięte pięści opadają czyjeś ciepłe dłonie.

– Wróć do mnie.

Tym razem głos Masona wkrada się do mózgu, rozdzierając scenę, którą wytworzył strauumatyzowany umysł.

Jego stwardniałe opuszki lekko drapią skórę, dzięki czemu osadzam się w rzeczywistości. Nic mi nie grozi. Palce Masona masują moje pięści, dzięki czemu zaczynam je rozluźniać.

– Jestem tu – szepcze, ale wciąż nie uchylam powiek.

Gorąco zaczyna palić policzki, bo toczy mnie wstyd. Wszyscy tu zgromadzeni członkowie Optimusa przeżyli gorsze rzeczy niż ja. Przy tym nikt z nich nie wpada w pułapkę własnej jaźni średnio raz na dwa tygodnie.

A może nauczyli się z tym żyć? Kontrolować?

Ja wciąż jestem więźniem wspomnień. Niezależnie od tego, jak mocno je od siebie odpycham, one zawsze wracają. Mroczniejsze, krwawsze, bogatsze o kolejne makabryczne szczegóły.

Jestem taka słaba.

Beznadzieja tej myśli sprawia, że spod powiek wypływają mi łzy.

– Och, Hudson – mamrocze Mason i przyciska moje sztywne ciało do siebie.

Mam wrażenie, że tylko jego bliskość pozwala mi oddychać.

– Przepraszam – szepczę w jego spoconą koszulkę.

Zanoszę się cichym szlochem, który niknie w dźwiękach muzyki.

– Nie masz za co...

– Hudson – przerywa Mateo. – Nie możesz jej traktować jak porcelanowej laleczki. Odsuń się.

Zaciskam mocniej powieki, biorę drżący wdech, a Mason obraca się ze mną w ramionach.

Trudno nie przyznać mu racji. Mason stał się zupełnym przeciwieństwem tego, kim był na początku. Jego standardowa złość i potrzeba dogryzania malała z każdym moim napadem lęku.

Stał się moim osobistym utrapieniem w tej trosce, z którą nie potrafię sobie poradzić.

– Nie.

Tembr głosu Masona wibruje w moim wnętrzu, a jego dłonie ciasno mnie oplatają.

Słyszę zirytowane westchnienie Mateo, więc odchyłam się od ukochanego, by spojrzeć mu w oczy.

– Księżniczko... – Widzę w jego wzroku troskę i cień smutku, który nie opuszcza go od kilku miesięcy. Niemal mogę dostrzec zarysy demonów, które za nim kroczą. Czy w moich oczach widać to samo? – Nie musisz robić nic...

– Ależ musi – cedzi wściekle Mateo, więc odwracam się w jego stronę.

Stoi w pozycji, która każe mi sądzić, że zaraz się na nas rzuci. Nogi rozstawione na szerokość bioder, ramiona pochylone do przodu, lekko ugięte kolano. Jego oczy przypominają mi Ranalda, ale nie do końca. W burzy tęczówek Mateo jest pewna nieokiełznana dzikość, przez którą trzymam się na dystans.

Jason stanął obok Amandy, Dan zastygł z ręką wetkniętą we włosy, a Dakota łypie na nas spod byka, odwijając bandaże z dłoni.

Moja nowa rodzina też nie ma pojęcia, co ze mną począć. Wiem, że do nich nie pasuję. Nie mogę chodzić do terapeuty, istnieje za duże ryzyko, iż zdradzi on wszystko mediom. Nie ma ceny, której nie można pobić. A moja jest zbyt wysoka.

Muszę... Muszę poradzić sobie sama.

– Wiem, że jestem słaba. – Kieruję słowa bezpośrednio do Mateo, który w odpowiedzi zaciska mocno usta. – Wiem, że do was nie pasuję. – Usiłuję rozsypać palce Masona, żeby wyjść z tych duszących objęć, lecz on ani drgnie. Wbijają we mnie to bolesne spojrzenie, więc przestaję się bezsensownie szarpać. Parskam żalonym śmiechem

i opuszczam ręce wzdłuż ciała. – Nawet nie umiem się uwolnić. To na nic.

Żaden trening nie uzupełni braków, które w sobie noszę.

Nie pasuję ani tu, ani tam. Wydziedziczona hrabianka, eks Jej Królewska Wysokość, rozwódka. Bez przyszłości, bez stabilności, bez wszystkiego.

– Nie jesteś słaba – oponuje Mason i wygląda, jakby chciał coś dodać, ale gryzie się w język. – Nie jesteś.

Uśmiecham się smutno i kładę dłoń na jego policzku.

– Jestem. Nigdy nie będę jedną z was.

W oddali słyszę pogardliwe prychnięcie Dakoty. Nawet na nią nie patrzę. Wiem, że mną gardzi. Nie tylko za to, że mam czelność z nimi trenować. Nienawidzi mnie, bo jestem z Masonem. Za to on wygląda tak, jakby chciał zmieść ją z powierzchni ziemi.

Ujmuję jego policzki i kieruję twarz w swoją stronę.

– Daj spokój – szepczę. – Daj jej spokój.

Radosna muzyka płynąca z głośników tak mocno kontrastuje z nastrojem w sali, że jest mi nieswojo. I chyba nie tylko mi, bo Dan przerywa napięcie:

– Przełączę, bo coś zrobiło się...

Nie kończy, chwytą pilota, który leży na skrzyni, i przeskakuje na inny kanał.

– Wszyscy się zastanawiają, jaka to przypadłość dotknęła jedynego syna króla Alberta. Pod pałacem zbierają się tłumy, które zostawiają kwiaty...

Gwałtownie odwracam twarz od Masona i wsłuchuję się w komunikat.

– I składają życzenia powrotu do zdrowia. Przypominamy, dziś rano Pałac Albejski wydał oświadczenie, w którym zapowiada przerwę księcia Ranalda w pełnieniu obowiązków korony. Spod pałacu...

Tak samo raptownie wracam twarzą do Masona, który wyzywająco wpatruje się w moje oczy.

Nie zrobił tego. Nie odważył się. Przez ciało pędzi stado niezidentyfikowanych emocji. Trudnych i splątanych, niczym włóczka po spotkaniu z kotem. Błądzą wzrokiem po stalowym spojrzeniu, które nie wyraża nic ponad determinację.

I już wiem.

Ktoś w tle wzdycha, ktoś cicho przeklina, ale mój świat szczelnie wypełniają bulgocząca złość i niedowierzanie. Tak kojący mnie zapach nagle staje się nie do wytrzymania.

– Puść mnie.

Duszę się.

– Nie.

Przybieram najbardziej wyrachowany wyraz twarzy, na jaki stać mnie w tej chwili. Zapach sosnowych igieł doprowadza mnie do szału.

– Puść mnie, kurwa – cedzę.

Mason ani drgnie. Jest jak obręcz, która ma za zadanie gnieść mnie tak długo, aż ulegnę.

– Myślisz, że zmusisz mnie przeklinaniem, księżniczko?

Jeszcze ma czelność się półgębkiem uśmiechać.

Dziwnie się czuję. Jakbym znajdowała się na wzburzonym oceanie, którego fala zaczyna mnie przykrywać. Mason porwał Ranalda, jestem tego bardziej niż pewna. Wiedziałam przecież, że to nastąpi. Nie mogę mu rozkazywać ani tym bardziej zakazywać tego, co sobie obiecał. Dlaczego więc czuję złość? Dlaczego mam wrażenie, że mój wąty spokój zaraz runie jak domek z kart?

– Puść ją – poleca Mateo, który jakimś cudem materializuje się obok nas.

Kładzie dłoń na zgięciu łokcia Masona i wpatruje się w niego intensywnie. Ta ich bitwa na spojrzenia trwa kilkanaście sekund, aż w końcu odzyskuję przestrzeń.

Mogę oddychać.

Zaczynam nerwowo wygładzać materiał koszulki do treningów. Rozprostowuję zagniecenia mechanicznymi ruchami w górę i w dół. Unikam kontaktu wzrokowego, bo mam wrażenie, że zaraz eksploduję.

– Ostatnie dwa miesiące wszystko robiliśmy po twojemu – zaczyna Mateo spokojnym tonem. – Ale to nie działa.

– I niby co? – sarka Mason wściekle i jestem pewna, że właśnie potrząsa głową. – I teraz mamy zrobić po twojemu?

Gładzę ubranie, chociaż nie ma już na nim ani jednej zmarszczki.

– Tak, Mason. – Cierpliwość Mateo powinna dostać osobną nagrodę. – Teraz zrobimy po mojemu. Ufasz mi? Ufasz nam?

Podkreśla to słowo, a mnie przechodzą dreszcze.

Rodzina. Są rodziną. Taką, jakiej nigdy nie miałam.

Może dlatego tak bardzo się gniewam? Jestem przerażona wizją tego, że ich zabraknie. Że zabraknie Masona, którego aresztują i wpakują za kratki na resztę życia za...

Cokolwiek, co zaplanował dla Ranalda von Grina.

– Porwałeś go, prawda? – Tak zanurzyłam się w swoich myślach, że nie zarejestrowałam, że rozmowa toczy się nadal.

Teraz wszyscy wpatrują się we mnie z dziwnymi minami. Ale ja patrzę w twarz Masona.

– Żadnych kłamstw, pamiętasz? – mówię łamiącym się głosem.

Rozumiem, dlaczego mi nie powiedział, ale też nie rozumiem. Jak mamy budować relację i życie, kiedy on wciąż decyduje za mnie, co mogę udźwignąć?

Mason zwilża wargi językiem, przymyka powieki i krótko kiwa głową.

Odwracam się do niego plecami, wodzę wzrokiem po reszcie Optimusa. Jason wierci butem w gumowej podłodze, Dan patrzy wszędzie, tylko nie na mnie. Dakota wzrusza ramionami, a Amanda wzdycha ciężko. Mateo jako jedyny hardo patrzy mi w oczy.

– Wiedzieliście o tym.

Nie zadaję sobie nawet trudu postawienia znaku zapytania na końcu wypowiedzi. Oni wiedzą.

W końcu są rodziną, do której nie należę. Wdarłam się do niej siłą, wpychając w ramiona śmierci ich najlepszego przyjaciela.

– Nic nie powiesz? – pyta mnie Mason, a ja kręcę głową.

Nie wiem, co chciałabym mu teraz powiedzieć. Mateo krzyżuje ramiona na szerokiej piersi.

– Idź, Mason.

Człowiek, który uratował mnie od losu gorszego niż śmierć... zaszczyca mnie ostatnim spojrzeniem pełnym bólu i trzaska drzwiami tak mocno, że wszyscy czują to pod stopami. Zaczyna mnie mdlić.

Niepewność skrada się wzdłuż kręgosłupa i rości sobie coraz większe prawa do mojego ciała. Macki odrętwienia zaciskają się na moich mięśniach.

– Moim zdaniem... – zaczyna Dakota.

– Gównu mnie ono obchodzi – odparowuje Mateo i powoli się zbliża.

Nie ma w nim łagodności Masona Meada ani autorytetu Masona Kinga. Jego zachmurzone tęczołki zdradzają, że jest zdolny do wszystkiego. Po tym, jak zobaczyłam jego poczynania na macie, mam pewność, że mógłby mnie zabić jednym ruchem.

– Nie ufasz nam.

Przetykam gułę wielkości głazu.

– To nieprawda... – zaczynam, ale nie mam szans dokończyć, bo Mateo gwałtownie wyciąga ku mnie dłoń, a ja kurczę się w sobie.

– Pierdolenie – kwituje i wiem, że ma rację. – Mason chroni cię przed tobą, sobą i nami. Jest jak trujący bluszcz, który osacza cię coraz mocniej, więc zapadasz się coraz głębiej w rejony traumy, zamiast się z nią pogodzić.

– Ja... – zaczynam, ale głos więźnie mi w gardle.

Potrząsam głową.

– Nie mówię, że mamy teraz złapać się za rączki i odtąńczyć jakiś, kurwa, taniec inicjacji. – Mateo odsuwa się na krok i w końcu odrywa ode mnie spojrzenie. – Ale skoro mamy być rodziną, musimy się nią stać. Wszyscy. Nie ma z nami Kat, ale ona sądzi to samo. Koniec z parasolem ochronnym Masona. Koniec spychania poczucia winy.

– I jak planujesz nas połączyć? – sarka Amanda i zezuje na Dakotę.

– Czy on naprawdę porwał... – wrywa mi się, zanim zdążę przygryźć język.

– Jedna rzecz na raz – komenderuje Mateo i kiwa głową do każdego zgromadzonego. – Nie chcę się zamieniać w terapeutę, ale chyba muszę – wzdycha i znów zawiesza na mnie czujny wzrok. – Jak się czujesz, Hudson?

Otwieram usta, ale zanim udaje mi się coś powiedzieć, dodaje:

– Oszczędź nam bzdur, które wciskasz Masonowi. Mamy sobie ufać.

Zaciskam pięści, a po chwili je luzuję. Jednak nie mogę wydobyć z siebie głosu. Jak się czuję? Tak naprawdę, w głębi siebie?

Amanda podchodzi i splata moje palce z własnymi. Patrzą na nią ze zmarszczonymi brwiami, ale ona tylko uśmiecha się do mnie lekko. Jakby chciała tym gestem dodać mi otuchy. Nikt mnie nigdy nie dotykał... w taki sposób.

Biorę kolejny, drżący oddech i zanim opuści mnie reszta odwagi, zaczynam mówić:

– Źle. Każdego dnia gniecie mnie poczucie winy. Boję się. Każdego cienia, każdego niebezpieczeństwa. Każdego gwałtownego ruchu. Boję się, że przeze mnie znów ktoś straci życie. W snach widzę martwe ciała. Nie tylko Andersona, który zginął z ręki Masona, i nie tylko Cassiusa... – Zaciskam palce na dłoni Amandy, z pewnością miażdżę jej kości, ale ona się nie cofa. Odwzajemnia uścisk. – Widzę wasze martwe ciała. Stos ułożony ręką mojego ojca. To moja wina, że Cassius nie żyje.

– Oczywiście, że twoja – potwierdza Mateo, a mnie ogarnia chłód, który mrozi szpik. Jednak przy tym rozlewa się po mnie dziwnego rodzaju ulga, że ktoś w końcu potwierdził moje przypuszczenia. Amanda obok się zapowietrza, ale on kontynuuje:

– Tak samo jak Amandy, Dakoty, Jasona, Dana i moja. A przede wszystkim Kat i Masona.

Potrząsam głową, nie o to mi chodziło...

– Widzisz, Hudson, wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za to, co się stało.

Podchodzi do mnie. Palce Amandy wysuwają się z objęcia, ustępując miejsca koledze. A on kładzie swoją wielką dłoń na moim sercu i dociska ją tak mocno, że się chwieję. Jednak nie pozwala mi upaść.

Trzyma mnie, jedną ręką wciskając mostek w głąb ciała, a drugą opiera na plecach. Czuję ten brutalny napór całą sobą. Jakimś sposobem ten dotyk prowokuje łzy do ucieczki spod powiek. Serce huczy, objając się o dłoń.

– Zaakceptuj to – mówi cicho i przewierca mnie spojrzeniem, w którym nie ma złości czy winy. Obraz rozmazuje się od łez, które spływają mi po policzkach. – Przestań zaklinać rzeczywistość, bo nie uwierzysz w kłamstwo. Pozwól sobie na prawdę. Jeśli czujesz się winna, dobrze. Ale to zaakceptuj. Widzę cienie, które się za tobą ciągną. Przestań z nimi walczyć. Zaakceptuj je.

Kiwam głową, niezdolna do wypowiedzenia słów na głos.

– Nie powstrzymuj łez. Daj im płynąć – ciągnie Mateo i nadal trzyma mnie w mocnym objęciu, któremu daleko do intymności. – Każdy z nas wybrał tę drogę, Hudson. Nie musisz się o nas martwić. Jeśli ktoś z nas umrze, trudno. Nie masz na to żadnego wpływu. Wiesz już, co musisz zrobić? – pyta wyczekująco.

Przytakuję.

– Zaakceptować – łkam.

– Zaakceptować – potwierdza. – Jeśli jednak nie jesteś w stanie tego zrobić... Nie wstąpiłaś tu dobrowolnie.

– Mateo – fuka ostrzegawczo Dan, a ja się spinam.

O co chodzi?

– Jeśli nie potrafisz pogodzić się z tym, że teraz twoje życie będzie pasmem niebezpieczeństwa i ryzyka śmierci... – Mateo w końcu zabiera rękę. Pustka po tym jest niemal namacalna. Odsuwa się na pół kroku, jakby chciał dać mi przestrzeń przed tym, co zaraz powie. – Możesz odejść.

– Masonowi się to nie spodoba – kwituje Jason.

– W dupie mam, co mu się podoba – warczy Mateo. – Hudson jest naszą największą słabością.

Zagryzam policzki na to stwierdzenie. Oczywiście, że nią jestem.

– Może być naszą największą siłą, ale to musi być jej decyzja – kontynuuje Mateo. – Jeśli nie jest gotowa nosić brzemienia Optimusa, musi odejść. Nie zaryzykuję życiem żadnego z was. Nawet kosztem furii Masona.

Zapada cisza.

Moje myśli rozbiegają się na wszystkie strony. Wybór. On daje mi wybór. Coś, co jest dla mnie wszystkim. Napięcie w sali treningowej może kroić nożem. Wydaje mi się, że nawet sprząty oczekują odpowiedzi.

Muszę się upewnić.



– Ucieczka?

Mateo kiwa głową, skupiając na mnie całą uwagę. Nie wiem, co tu kalkulować i nad czym się zastanawiać.

– Cóż... – zaczynam, po czym podnoszę brodę wyżej. – Ucieczka nie jest tym, co chciałabym zrobić.

Jason aż sapie z ulgi, reszta zaczyna się śmiać, żeby rozładować trudne emocje. Jednak Mateo i ja utrzymujemy kontakt wzrokowy, który zdaje się mówić:

*Tej decyzji już nie cofniesz, Hudson Perth.*

# **Rozdział 2**

## **Mason**

Wydycham powietrze tak wolno, że palą mnie płuca. Chmura dymu powoli pnie się w górę, ku niebu i wolności. Usiłuję uspokoić serce galopujące w siną dal, ale jakoś mi to, kurwa, nie idzie.

Wszystko się popierdoliło, wcale nie z powodu jebanego następcy tronu uwięzionego w piwnicy. Wyrzucam i przydeptuję butem resztkę papierosa, po czym sięgam po kolejnego. Zapalniczka pstryka, płomień ogrzewa palce, a następny wdech smakuje już dymem. Zaciągam się głęboko, trzymam w płucach śmiercionośną mieszankę i udaję, że wcale nie gotuję się od nadmiaru emocji.

Wyjmuję z kieszeni spodni kartkę i wpatruję się w nią tak intensywnie, że powinna stanąć w płomieniach albo chociaż zdradzić mi tajemnice wszechświata. Zamiast tego milczy, jak to kartki papieru mają w zwyczaju.

To nie jest zwykła makulatura. Jest nasączona krwią Hudson, a znalazłem ją po powrocie do domu w dniu porwania księciunia. Brązowy, zaschnięty świstek jawnie ze mnie drwi, bo nie ma na nim żadnych więcej śladów DNA. Ani pól odcisku palca, ani plamki innej krwi czy śliny.

Nic.

Nie wiem, kto to, kurwa, wysłał, ani w jakim celu.

Udało mi się jedynie ustalić, że krew należy do Hudson. Kiedy została pobrana? Jeszcze w pałacu czy podczas jej pobytu w hangarze w San Coronie?

To sprawka jej ojca, przyrodniego brata czy ktoś inny dybie na nasze życie?

Czy to wiadomość? Co oznacza?

Warczę cicho z frustracji, wyrzucam papierosa daleko przed siebie. Wzdłuż kręgosłupa pędzą nieprzyjemne ciarki. Nie mam kontroli nad niczym, co się wokół nas dzieje. Jest tylko chaos, w którym nie potrafię się poruszać.

Słyszę nad głową dziwne brzęczenie, więc ściągam brwi i unoszę wzrok.

Pierdolone drony.

Pospiesznie chowam do kieszeni zakrwawiony papier i zastanawiam się, skąd te hieny wiedzą, gdzie jesteśmy. Skąd wiedzą, że tu

ćwiczymy? Czy kiedykolwiek będziemy mieli choć trochę spokoju? Czy trzeba będzie wyprowadzić się za granicę tego pojebanego państwa, żeby w końcu zyskać pozory prywatności?

Na tyłach klubu Dana, całe szczęście, nie brakuje przedmiotów do strącenia wścibskiego drona którejs z stacji telewizyjnych. Albo tabloida. Wszystko, kurwa, jedno.

Schylam się po kamień i chowam go za plecami, przyglądam się z uwagą latającemu oku kamery, której operator chyba pozamieniał się z chujem na głowy. Irytujące brzęczenie nabiera na intensywności, drzę w oczekiwaniu, bo zaraz mnie coś strzeli.

A kiedy dron jest wystarczająco blisko, uśmiecham się złośliwie z nadzieją, że mają też mikrofon.

– Jeśli nie dacie nam spokoju, ten kamień trafi w czyjaś, kurwa, czaszkę.

Rzucam prosto w latającą maszynę. Zatacza się, kamień głucho ląduje między śmietnikami, a w końcu i wścibskie oko rozpląszcza się o asfalt wylany na całym terenie.

Przeszywa mnie iskra samozadowolenia, które szybko mija, zastąpione posępną całą tej sytuacji. Mimo bycia na świeczniku od dwóch miesięcy nie czuję, żeby Hudson była bezpieczniejsza.

W nocy trawia ją koszmary, w dzień nie może odetchnąć od niesłabnącego zainteresowania. Do tego po dziś... Chyba mnie znienawidzi. Patrzy na mnie w ten swój dziwny sposób, którego nie potrafię rozpracować.

Nie spodziewałem się, że tak szybko doda dwa do dwóch, ale przecież nigdy nie była głupia. Życie w ciągłym stłamszeniu nie niweluje umiejętności rozumienia faktów. Wiedziała przecież, że nie odpuścę nikomu, kto przyłożył rękę do jej cierpienia.

Ale wiedza to co innego niż świadomość dokonania czynu.

Może to za dużo jak na jej obciążone barki?

Drzwi otwierają się z głośnym skrzypnięciem. Odwracam głowę, by spotkać się wzrokiem z Kat.

– Mówili, że cię tu znaję. – Uśmiecha się lekko, ale jej oczy pozostają smutne.

– Koniec dyżuru? Powinnaś iść do domu – odpowiadam tak troskliwie, że Kat unosi brwi.

Jej włosy związane są w niechlujny kok osadzony na czubku głowy. Staje obok i sięga do mojej kieszeni, zanim zdązę jakkolwiek zareagować.

– C... – zaczynam, ale zaciskam usta, kiedy jej dłoń natrafia na kartkę. Szybko nakrywam jej palce własnymi. Są lodowate. – Papierosy mam w drugiej kieszeni.

Chwyta papier, a moje serce huczy o żebra. Nasze spojrzenia krzyżują się boleśnie. Wytrzymuję kontakt wzrokowy.

– Od kiedy palisz, Kat? – pytam i nie puszczam jej dłoni, ale im dłużej to robię, tym bardziej dochodzę do wniosku, że to był zły pomysł.

Jej sprytny umysł w mig łapie, że chcę coś ukryć.

Kurwa mać.

– Od kiedy trzymasz mnie, żeby nie wyjęła tego papierka, Mason? – pyta takim samym tonem.

Staram się robić dobrą minę do złej gry, więc wyjmuję rękę i wzruszam ramionami. Sięgam do drugiej kieszeni, wyluskuję paczkę fajek i zapalniczkę. Kat jednak zna mnie zbyt dobrze, więc wyciąga interesujący ją przedmiot i przypatruje mu się ze skupieniem.

– Co to jest? – dopytuje i ignoruje wystawione w swoją stronę pudełko.

– Kartka.

*Weź te jebane szlugi i przestań drążyć* – proszę ją w myślach, ale ona właśnie mruży oczy i przykłada papier do nosa.

– Czy to jest krew? – wyrzuca z siebie wściekle, a jej oczy to teraz dwie wąskie szparki, nozdrza falują w rytm oddechów.

– Nie, po prostu lubię sobie chodzić ze sztywną i brązową kartką w kieszeni – sarkam i sam wyciągam trzeciego już papierosa.

Powinienem rzucić palenie. W tym tempie śmierć upomni się o mnie o wiele szybciej, niżbym sobie tego życzył.

– Nie możesz chodzić z krwią... – Kat hamuje się przed dalszym mówieniem, nerwowo rozgląda wokoło i dopiero po chwili rejestruje latającą maszynę, którą strąciłem. – Czy to...

– Dron? – Zaciągam się. – Tak.

Chowa kartkę do kieszeni swojej bluzy, jakby się bała, że ktoś może ją zobaczyć.

– Ja pierdołę, Mason.

– Ja pierdołę, Kat – potwierdzam.

W końcu bierze z mojej dłoni szluga i go odpala. Widok jej z fajką w ustach powoduje złość, ale chyba mocniej podgryzają mnie wyrzuty sumienia. To moja wina. Wszystko to moja wina.

– Nie powinnaś palić – rzucam, a ona prycha.

– A ty nie powinieneś chodzić z krwią swojego arcywroga w kieszeni.

– Arcywroga? – parskam śmiechem.

Kat mrozi mnie spojrzeniem.

– To nie krew Ranalda, nie jestem Dexterem Morganem.

Kat syczy i czujnie obserwuje otoczenie.

– Nie powinieneś nawet wymawiać jego imienia. Jak myślisz, kto jest podejrzanym numer jeden?

Znów wzruszam ramionami. Nic na mnie nie mają. Przynajmniej na razie.

– Ty, głąbie. Co planujesz z nim zrobić?

Jak zwykle zadaje trafne pytania. Nie wiem. Obiecałem sobie, że zabiję każdego, kto skrzywdził Hudson, ale to nie takie proste. Może gdyby jej mąż był zwykłym obywatelem... Ale to Ranald, pieprzony, von Grin.

Wiem już, że w kraju podniesiono wszystkie alerty. Oczywiście nieoficjalne. Jestem pewien, że w przeciągu kilku dni dostanę osobisty ogon, co nie jest wcale strasznym utrudnieniem, kiedy jeździ się motocyklem.

Na razie.

W końcu ich ściema z chorobą wyjdzie na jaw, bo Ranald nie wróci. W głębokiej dupie mam kwestie sukcesji tronu i inne arystokratyczne bzdury. Znajdą kogoś na jego miejsce. Ktoś taki jak von Grin nie powinien pełnić żadnej funkcji poza byciem nawozem dla mikroorganizmów pięć stóp pod ziemią.

– Więc? – Kat szturcha mnie łokciem i tym wrywa z zamyślenia.

– Jaki jest twój plan?

Plan? Nie mam żadnego. Mimo przygotowań decyzja o schwytaniu Ranalda była spontaniczna i dyktowana silnymi emocjami. Nie rozsądkiem. Ten wziął urlop i wrócił dopiero teraz, kiedy jest już po zawodach.

Jestem w dupie.

Powoli zwracam wzrok na Kat. Ma na sobie bluzę Cassiusa z logiem valoriańskiej uczelni, jej dłoń jest zaczerwieniona, a skóra na kostkach popękana. Strząsa popiół, który sfruwa razem z wiatrem. Przenoszę spojrzenie na jej twarz, zaciska mocno usta i wypuszcza dym nosem.

– Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. Wciąż... – zaczynam, ale ona morduje mnie wzrokiem. Mimo to kończę: – Wciąż szorujesz dłonie?

– Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. – Przedrzeźnia mój głos, rzuca niedopałek na asfalt, przydeptuje butem.

Oddaje mi zakrwawiony papier i wciska dłonie w kieszenie bluzy. Strzelał kośćmi karku. Walka z Mateo mnie nie rozluźniła.

Nie sądziłem, że Kat nadal męczą... te czynności. Ale najwidoczniej nie chce ze mną o tym gadać, więc muszę to uszanować. Każdy z nas ucieka przed własnymi demonami.

– To krew Hudson. – Chowam ten bezcenny dowód. – Znalazłem to w warsztacie, obok sprayu na pająki.

Wzdycham ciężko i zbieram nasze niedopałki, żeby wyrzucić je do śmieci. Kat rozchyła usta w wyrazie szoku.

– Nie wiem, skąd się to wzięło ani kto to tam podrzucił. Kamery padły. – Pocieram zdrętwiały kark palcami. W tym dniu wszystko stało na głowie. – Może jej ojciec, może Bastard, może ktoś nowy. Wszystko jest, kurwa, możliwe.

Patrzy na mnie z dziwną miną. Zagryza policzek od środka i coś czuję, że nie spodoba mi się to, co usłyszę.

– Brat Casa... On wie.

Mrozi mnie. Z rodziny Weberów tylko Cassius okazał się normalny. Jego starszy brat Octavius był dziki bardziej niż rwący potok. W dorastaniu na pewno nie pomógł mu fakt, że to on brał na siebie wszystkie baty ich ojca. Finalnie dokonał samosądu i upozorował samobójstwo.

Cas nie utrzymywał z nim kontaktu.

– Wie co?

– Wie, że to przez nas on nie żyje. – Kat szura czubkiem adidasa w asfalcie i pociąga nosem. – Nie skończyło się to zbyt dobrze, gdyby nie mój refleks i szkolenie, prawdopodobnie leżałabym na oddziale intensywnej terapii. I tak z ledwością mu umknęłam, typ wygląda jak dzik...

– Chryste – mamroczę. Mięśnie błagają o półgodzinny gorący prysznic, a najlepiej masaż, ale nie mam na to czasu. – Myślisz, że może współpracować...?

Nie kończę, gdyby jednak ktoś nas podsłuchiwał, ale pytanie to wisi między nami, ciężkie i niestrawne.

– Nie wiem – odpira w końcu po chwili milczenia. – Nikt z nas nie miał z nim kontaktu do czasu...

– Pogrzebu. Wiem.

Kat potrząsa głową, kosmyk włosów wymyka jej się z gumki, więc zakłada go za ucho.

– Wiesz, że jest zdolny do wszystkiego, dlatego bądź ostrożny. – Jej dłoń zaciska się lekko na moim przedramieniu. – Masz o wiele więcej wrogów niż wcześniej, Mason. – Zniża głos do szeptu. – Nie mogę stracić też ciebie...

Kurwa.

Przyciągam ją do siebie i zamykam w uścisku. Wtula się we mnie. Trwamy w ciszy, aż na głowy zaczyna kapać nam deszcz. Wsuwam Kat na głowę kaptur, ciągnę nas do metalowych drzwi.

– Zanim wejdziemy... – zaczyna, kiedy zbliżamy się do dźwięków i źródła światła. Kładzie mi dłoń na klatce piersiowej, żeby mnie zatrzymać.

– Co znów?

Wbijam w nią spojrzenie i nie mogę pozbyć się wrażenia, że chce mnie jeszcze przytrzymać, jakby na sali treningowej działo się coś, czego nie powinienem... wiedzieć.

Moje napięte do granic możliwości mięśnie płoną z wysiłku. Zaciskam zęby tak mocno, że trzeszcza. Mam ochotę w tej chwili przesunąć Kat i biec jak kretyn, by ratować Hudson.



– Dostajesz przy niej małego rozumu i uwierz, rozumiem to jak nikt – ciągnie i wciąż stoi mi na drodze. – Ale pamiętasz, że to wszystko, co zbudowałeś, jest niebezpieczne? Pamiętasz, że jeśli Hudson ma stać się jedną z nas, to musisz traktować ją jak jedną z nas?

– A niby jak ją traktuję? – cedzę. Usiłuję przesunąć przyjaciółkę, ale ona zapiera się piętami i mnie odpycha. – Kat – warczę ostrzegawczo. – Co to ma znaczyć?

Krew szumi mi w uszach, bulgocząca i gorąca.

– Widzisz? Reagujesz jak świrus. Ufasz nam? – Wbija mi pięść w brzuch, co mnie nieco otrzeźwia. – Ufasz nam, zasańcu?

– Zasańcu? – Unoszę brwi i trochę się opanowuję.

Przecież to moja rodzina. Naprawdę zachowuję się jak nadopiekuńczy kretyn?

– Skoro już się ogarnąłeś, musisz coś wiedzieć, zanim urwiesz łeb Mateo.

\*\*\*

Nadal czuję pulsujące fale wściekłości. Proponować jej ucieczkę? A gdyby... Potrząsam głową. Prawdopodobnie to byłoby dla niej lepsze, ale... Nie chcę z niej rezygnować. Ani teraz, ani nigdy. Być może czyni to ze mnie największego hipokrytę, jakiego nosi ten świat, ale nie dbam o to.

Póki jest przy mnie mój mały promyczek słońca, wiem, że mam w sobie resztki człowieczeństwa.

– Wyglądasz jak te pieski, co kiwają głowami – stwierdza Hudson i uśmiecha się lekko.

Obchodzi wyspę kuchenną i wspina się na palce. Gdy opiera się o moje ciało, jej koszulka podsuwa się w górę, odsłaniając kształtne pośladki. Sięga po dwa kubki, opiera dłonie o blat i odwraca się przez ramię.

Jej spojrzenie iskrzy. Kaskada fal sływa jej po plecach, gdy lekko wypina tyłek w moją stronę.

Ta kobieta mnie wykończy.

– Nie miałaś robić herbaty? – pytam głosem ochrypniętym bardziej, niżbym sobie tego życzył.

Wciąż nie porozmawialiśmy o tym... Kogo przetrzymuję w dźwiękoszczelnej piwnicy. Wciąż nie powiedziałem jej o tym, że ciągle coś nam grozi. Ktoś. Wiele ktosiów. Jest mi niewygodnie we własnej skórze nie tylko dlatego, że jej odsłonięte pośladki zachęcają do eksploracji, lecz także dlatego, że przeze mnie jest na widoku.

Bezbronna bardziej niż z Ranaldem.

– I czar prysł – mamrocze Hudson, kiedy czajnik gwizdże.

Zajmuje się zalewaniem herbaty, a ja skradam się po cichu i od tyłu obejmuję ją w pasie. Zaczyna chichotać, kiedy drapię zarostem jej skórę na szyi i zostawiam tam tysiąc słodkich całusów. Z kubków unosi się para, a ja wtulam się w nią całym ciałem. Wzdycha tak uroczo, że roztopia tym wszystkie troski.

Może nie było się o co martwić? Moglibyśmy siedzieć w tym mieszkaniu i zostać tu do końca swoich dni. Wiem, że nie możemy. Życie dopadłoby nas i tutaj, a musimy być gotowi na to, co nadejdzie. Więc zaciągam się jej słodkim zapachem, póki jeszcze nic się nie pojebało.

– Powinniśmy porozmawiać – mamroczę prosto w zagłębienie w jej obojczyku, ale po chwili się prostuję.

Jej głowa opada na moją pierś. Hudson wygina kark i unosi spojrzenie, a ja tonę w jego błękicie.

Zrobię dla niej wszystko. Choćby miało mnie to kosztować życie.

– Też sądzę, że powinniśmy porozmawiać – stwierdza tylko, więc unoszę brew.

– Tak? A o czym?

Obracam ją przodem, Hudson wydaje z siebie zdławiony okrzyk. Chwytam ją za uda i unoszę. W odpowiedzi kładzie jedną dłoń na moim karku, a drugą zanurza w moich włosach. Przechodzi mnie dreszcz przyjemności, co tylko potęguje narastające w dresie podniecenie. Bliskość jej ciała też nie pomaga się skupić.

Niosę ją do sypialni, żeby odgłosy wiecznie włączonego telewizora nie przeszkadzały nam w konwersacji. Bo musimy pomówić.

Siadam na łóżku z nią na kolanach. Patrzy na mnie z góry, przygryza wargę i widzę w niej zmianę. Z przestraszonej kobiety, bojącej się własnego cienia... Staje się kimś, kto jest gotów rzucić mnie na kolana.

A ja nie jestem pewien, czy potrafię udźwignąć tę nową Hudson.

Nie chodzi o ogień, którym przy mnie płonie. Ona wciąż udaje, a co gorsza – udaje też przede mną. Przecież czuję, jak jej ciało przez sen dygocze, jak pokrywa się lepką warstwą strachu, który jest mi znajomy.

Ale ona zapętla się w zaprzeczaniu, które tak dobrze zna. To jedyny znany jej sposób na poradzenie sobie z traumą.

– To o czym chciałaś porozmawiać? – zagajam i gładzę jej plecy kolistymi ruchami.

Przez twarz Hudson przebiega zaniepokojenie zatuszowane szerokim uśmiechem. Przestaję ją głaskać. Patrzy na mnie z wyrzutem.

– Znów się przede mną maskujesz – tłumaczę spokojnie i czujnie obserwuję zmianę na jej twarzy. – Wiesz, że możesz być przy mnie po prostu Hudson, prawda? Nie potrzebuję księżnej ani Jej Królewskiej Wysokości.

Lekko się wzdryga, pewnie na swój niedawny tytuł.

– Interesuje mnie to, co masz tutaj. – Muskam ustami jej mostek. – Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, nie musisz się obawiać.

– No nie wiem – mamrocze pod nosem i odwraca wzrok.

– Czy ty się mnie boisz? – pytam z cieniem niedowierzania.

Ona wciąż unika mojego wzroku. Ja pierdolę, czy niepostrzeżenie stałem się takim samym potworem jak Ranald?

– Hudson? – pytam już ze ściśniętym gardłem.

– Nie o to chodzi... – Jakby ociąga się z odpowiedzią. Odkładam ręce po obu stronach pościeli, żeby jej nie dotykać. Sam nie wiem, co zamierza mi powiedzieć i jak bardzo mnie to zaboli. – Czuję się nieco osaczona. Mam wrażenie... – Znów na mnie patrzy, w jej oczach dostrzegam cień smutku, który tak mocno stara się ukrywać. – Jakbym zamieniła jedną klatkę na drugą.

To jak strzał w pierś, który niemal odebrał mi życie. Dławię się powietrzem, które utknęło w drodze do płuc. Zaciskam pięści na prześcieradle, szukam na twarzy Hudson... czegoś.

A potem rozumiem.

– Czy moja troska kiedykolwiek sprowadziła na ciebie krzywdę? – zaczynam powoli. – Czy kiedykolwiek czułaś się zagrożona przez moje działania wobec ciebie? Czy może moja troska przeszkadza ci w nowo odkrytej wolności, panno Hope?

Wzrok Hudson się zmienia, schodzi z moich kolan. Czuję niemal fizyczny ból, kiedy jej ciężar znika. Przez chwilę stoi odwrócona plecami, a kiedy się już odwraca w moją stronę, ma zaciętą minę.

– Nie zrozumiesz, Mason – mówi z taką stanowczością, że aż wbija mnie w materac.

Jednak walczę z osłupieniem i powoli się podnoszę. Staję pewnie na nogach i sunę w jej kierunku, a ona się nie wycofuje.

Wojownicza księżniczka.

Na moje usta wstępuje lekki uśmiech, kiedy tak zadziera głowę, aby wciąż mierzyć mnie tym hardym spojrzeniem.

– Nie rozumiem? – szepczę, wsuwam ręce w kieszenie dresów.

Palce muskają zakrwawiony kawałek papieru, z którym nie potrafię się rozstać. Jestem w przestrzeni osobistej Hudson, ale jej nie dotykam. Nasze ciała niemal się stykają, brakuje tylko kilku milimetrów, ale nie przekraczam tej granicy. Patrzę na nią z góry i widzę, jak jej oddech zaczyna się zmieniać, gwałtownie przyspieszać.

Przetyka ślinę, a jej źrenice robią się coraz większe. Cisza dudni między nami, wypełniona niewypowiedzianymi słowami, obietnicami przyszłości, która nam obojgu nie jest pisana.

Może Hudson wyszła z jednego piekła, ale wpakowała się w drugie? Trzeciej opcji po prostu nie było. Każde z nas jest teraz niewolnikiem własnego życia. Oczywiście, że nie chciałem dla niej takiego rozwiązania, ale nie mamy innej możliwości. Mnie też nie odpowiada bycie na świeczniku, ale czy mam jakiś wybór?

Nie.

Jesteśmy sumą wydarzeń i decyzji, które za nas zostały podjęte.

Hudson wciąga policzki do środka, po czym je wypuszcza. Obserwuję, jak wierci się we własnym ciele. Toczy walkę między tym, co powinna a tym, czego naprawdę chce. W końcu opuszcza wzrok, jakby została pokonana.

Cmokam z dezaprobatą.

– Nie odwracaj ode mnie wzroku.

– Nie mogę na ciebie patrzeć, kiedy jesteś taki... – mamrocze pod nosem. – Potężny. Czuję się niepewnie.

Łamię swoje postanowienie i unoszę jej podbródek, żeby na mnie spojrzała. Nasze oczy się odnajdują, jakby były na siebie zaprogramowane. Mogę poczuć nić przeznaczenia, która owija się wokół nas żeglarskim węzłem, którego nie sposób rozwiązać.

– Nie musisz czuć się przy mnie niepewnie. To ty rzuciłaś mój świat na kolana i, kurwa, tak strasznie się boję, że cię stracę. – W jej oczach po chwili błyszczą łzy. – Ale nie dotknę cię więcej. Chyba że sama o to poprosisz. – Opuszczam dłoń i znów wsuwam do kieszeni.

– D... – Hudson się zapowietrza. – Dlaczego?

Och, to akurat bardzo proste. *Bo tak cię, kurwa, kocham, że nie mogę znieść, jak bardzo jesteś inna.*

– Bo ciągle oszukujesz – kwituję z gorzkim uśmiechem. – Ciągłe się przede mną ukrywasz, nie chcesz rozmawiać, odpychasz od siebie wszystko i wszystkich, i ja nie zamierzam już grać tego dobrego. Może potrzebujesz złoczyńcy, nie bohatera?

Przygryza wargę i powoli wypuszcza ją zza zębów. Moja samokontrola wisi na bardzo cienkim włosku, który jest już rozdzielony na czworo. Mam ją na wyciągnięcie palca, a mimo to jej sobie odmawiam.

Musi wykonać pierwszy krok, nawet jeśli będzie mnie to kosztować dni abstynencji seksualnej.

– Ja też się boję, że cię stracę – szepcze w końcu, mruga, ale żadne łzy nie wylewają się z jej oczu. – Boję się, że wszyscy z Optimusa stracą życie. Boję się o twoją matkę i brata – ciągnie na jednym wdechu i nerwowo obciąża koszulkę w dół. – Denerwuję się, że nie mam normalnego życia, chociaż... – Milknie.

– Chociaż co?

– Chociaż opuściłam pałac.

– I sądzisz, że to moja wina...? – Odgaduję ten tok myślenia, a ona nieznacznie kiwa głową. – Skarbie, mi też nie odpowiada to życie. Jest uwierające i upierdliwe. Każdy mój krok śledzą

pierdolone drony, łązi za mną jakiś tuzin ludzi, każdy ma do zadania tysiąc pytań i do zrobienia dwa razy tyle zdjęć. – Hudson potrząsa głową, otwiera usta, ale nie daje jej dojść do słowa. – Ale takie jest teraz moje życie. Wiem, ja podjąłem taką decyzję, a ty nie miałaś na to szansy.

Wzdycham ciężko, widząc dezorientację na jej twarzy. Muszę to powiedzieć, mimo tego, że prawdopodobnie ją to zaboli.

– Strasznie mi przykro, że czujesz się jak w klatce i nie wybrałaś takiego życia. Ale mogłaś zostać w rękach Ranalda...

Wzdryga się.

– Albo dostać klatkę z widokiem na Valorę i towarzystwo zbira. – Nie odrywam wzroku od jej wielkich źrenic. – Przykro mi, że nie ma trzeciej opcji. Naprawdę chciałbym, żeby coś innego wchodziło w grę.

– Mateo zaoferował mi trzecią możliwość. – Przełyka ślinę z trudem, a ja zaciskam szczęki.

– I co? – pytam.

Głos drży mi od wstrzymywanej furii.

Wciąż mam ochotę go zamordować.

– Nic. Nie chcę uciekać. Muszę to zaakceptować. Nie tylko to. – Przymyka na chwilę oczy i bierze oczyszczający wdech, w końcu rozchyła powieki. – Masz rację, Mason. Nie ma trzeciej opcji. Przynajmniej nie w naszym przypadku. Ale nie lubię, jak jesteś taki... nadopiekuńczy. Czuję się wtedy słaba, a nie chcę.

– Nie potrafisz odpuścić, jeśli chodzi o ciebie – burczę cicho.

Zaciskam pięści w kieszeniach, bo napięcie między nami jest nieznośne.

– Jesteś mój? – pyta cicho. Jej szept budzi coś w moim wnętrzu.

Czy jestem? *Ja pierdole, co za pytanie.*

– Kurwa, Hudson, dopóki śmierć nas nie rozłączy. A po niej... Strącę samego Boga z niebiańskiego tronu, żeby cię odnaleźć. Pokonam wszystkie stopnie do piekła, wyrąbię sobie drogę do upadłego anioła i zajmę jego miejsce. Nie ma rzeczy, która powstrzyma mnie przed dotarciem do ciebie. W tym życiu i każdym innym.

Hudson opieszale opiera swoje dłonie o moją klatkę piersiową. Każdy palec spotyka się z koszulką w powolnym tańcu, a moje zakończenia nerwowe stają w ogniu. Nakazuję sobie bezruch. Powoli wydecham powietrze nosem, a Hudson wspina się na palce i muska mnie ustami.

Ale kiedy widzi, że nie zmieniam zdania i wciąż trzymam dłonie w kieszeniach, oblewa się uroczym rumieńcem. Jest teraz taka prawdziwa. Z krwi i kości. Złożona ze skrępowania i pożądania. I cała moja.

– Chciałabym, żebyś mnie dotknął – mówi cienkim głosem, w którym wyczuwam ogromną nutę wstydu.

A raczej całe wiadro.

Uśmiecham się szeroko, ujmuję jej rozgorączkowaną twarz w obie dłonie, zwisam milimetry nad spragnionymi ustami.

– Myślałem, że nigdy nie poprosisz.

\*\*\*

Noc jest przytulna, nawet wiatr ucichł i nie dmie tak przeraźliwie w moje ciało. Motocykl strasznie hałasuje, mam wrażenie, że połowa Valory już siedzi mi na ogonie. Zmieniłem rejestrację na fałszywą, ale co z tego?

Zwalniam i zrzucam z biegu, choć palce drżą na manetce gazu. Rozglądam się na boki, jakby naprawdę ktoś miał na mnie oko. Spoglądam w górę na potencjalne drony, moje serce wali jak bęben w ochraniacz.

Dopiero po chwili dochodzi do mnie, że zachowuję się jak paranoik, więc parskam w kask cichym i gorzkim śmiechem. Przejeżdżam przez opustoszałe miasteczko, aż docieram do swojego ulubionego miejsca.

Najbardziej strzeżonej miejscówki w kraju, zaraz za Pałacem Albejskim.

Zerkam na drzewa, w których kryją się kamery i ludzie, którzy obserwują to miejsce przez całą dobę, siedem dni w tygodniu. Muszę być pewny, że nikt się tu nie dostanie. Nikt, kogo nie powinno tu być.

Parkuję motocykl, światła i silnik gasną. Zdejmuję kask, wystawiam twarz w stronę nocnego nieba, przyjmuję jego kojący chłód. Zimno studzi rozognione nerwy.

Nie mam pojęcia, co zrobić z Ranaldem. Chciałbym go zająbać. Odcinać kawałek po kawałku jego pychę i butę. Sprawić, żeby krzyczał i błagał o litość.

Kim mnie to jednak uczyni? Czy nie różniłem się od innych zwyrodnialców działaniem według kodeksu, który sam stworzyłem? Ranald jest taki sam jak osoby, które zwyczajnie nastraszyłem i puściłem wolno. Nie jest handlarzem żywym towarem, przemytnikiem czy mordercą. Jest zwykłym przemocowcem. Nigdy nie zabiłem nikogo dla czystej zemsty i... nie wiem, kim się stanę, jeśli to zrobię.

Moje motocyklowe buty dudnią o schodki małego domku. Mam wrażenie, że wszystko jest pięć razy głośniejsze niż zazwyczaj. Przekręcą klucz w zamku, szcęk niesie się w noc.

Na karku mam gęsią skórkę. Zaciskam zęby, czuję nad sobą czyjąś duszącą obecność.

– Nie teraz – mamrocę jak wariat, zatraskuję drzwi i zapalam światło.

Może w świetle goniące mnie dusze odpuszczą pościg?

Idę przez błyszczącą kuchnię, korytarzem do drzwi, które prowadzą na dół, wprost do gościa honorowego.

Za dnia ktoś dba o to, by miał co jeść i pić. Razem z załatwieniem potrzeb fizjologicznych, bo nie jestem takim samym potworem, jak on. Jego obsługa nosi kominiarki i broń, w razie gdyby księżę próbował coś odwalić.

Dotychczas jednak nie była potrzebna.

Staję pod drzwiami dźwiękoszczelnego pomieszczenia i ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Może w nocy wszystko wygląda straszniej? Żołądek wiąże się w supeł. Co powiedziałby Cassius? Jestem pewny, że odwiódłby mnie od tego pomysłu, a ja w końcu przyznałbym mu rację.



Ryzykuję więcej, niż jestem w stanie przyznać. A może nie? Może tylko przesadzam?

Nikt z Optimusa nie potrafi mi się przeciwstawić, nawet Mateo. Nie interesuje go żywot księcia, dba tylko o tych, którzy naprawdę się liczą. Dlatego zaoferował Hudson ucieczkę. Zaciskam pięści, kwaśny posmak zdrady rozlewa mi się po języku.

Wyciągam dłoń do klamki i dostrzegam, jak bardzo drżą mi ręce. Nieograniczona wściekłość zaczyna pełznąć po kręgosłupie, liże każdy fragment wątpliwości oraz resztek sumienia, które skrywają się pod grubą warstwą popiołu.

Tyle osób chce naszej śmierci.

Naciskam klamkę. Ostre światło włącza się automatycznie.

Ranald, wyrwany z drzemki, wykrzywia szlachecką twarz w grymasie, bo jego sen dla urody został przerwany.

– Uniżenie przepraszam, że wadzę jaśnie panowi – sarkam.

Wsuwam dłonie do kieszeni i opieram się o stół, na którym znajduje się moja kolekcja noży.

– To ty – stęka i prostuje się, jakby nawet teraz etykieta gryzła go w dupsko. – Po co przyszedłeś? Moja żona już ci się znudziła?

Drży mi powieka. Burzowe spojrzenie nieco przygasło, warga nie zdążyła się zagoić, ale wciąż trzyma brodę wysoko. Traci rezon, kiedy nic mu nie odpowiadam. Przyglądam się jego więzom.

– Nadal chce ci się szczekać? – pytam po chwili przedłużającego się milczenia. – Po co próbujesz wyprowadzić mnie z równowagi?

Ranald wzrusza ramionami na tyle, na ile jest w stanie.

– Z nudów? – rzuca tym irytująco pewnym siebie tonem. – A ty czemu tu przyłazisz? Lubisz oglądać związanych ludzi? Czy wolisz tłuc tych, co nie mogą się bronić?

Unoszę brew.

– To wyzwanie? Sądzisz, że jak cię rozwiążę, to nie dam ci rady? Wyszczera zęby.

Może wygląda groźnie, ale mnie nie przeraża. Widziałem ludzi straszniejszych niż lalusiowaty dupek.

– No dobrze – kwituję.

Odbijam się od blatu stołu i chwytam jeden z noży. Ranald wstrzymuje powietrze, ale usiłuje nie dać po sobie poznać, że się boi. Świetnie. Uśmiecham się półgębkiem.

– Jeśli mnie powalisz, będziesz wolny.

– Nie wierzę ci – wypuszcza na jednym tchu.

Zaśmiewam się.

– Przysięgnij – ciągnie Ranald.

Sądzi, że przysięga coś znaczy? Nie jestem człowiekiem honoru.

– Przysięgam.

– Przysięgnij na Hudson. – Mruży oczy, a ja mam ochotę wyrwać mu język.

Muszę wziąć się w garść, zanim popełnię kolejny błąd. Nie wiem, co z nim zrobić. Nie powinienem go zabijać. Nie mogę go wypuścić. Jestem w kropce. Bezsilność gryzie od środka i łaskocze żołądek, przez co jest mi nieswojo we własnym ciele.

Zasysam wargę, przyglądam się temu robalowi, który skrzywdził moją kobietę. Złość, gorąca i czerwona, budzi się do życia. Jeśli wygra – sprawa załatwiona. Męski honor, te sprawy.

Podchodzę do niego, tężeje w oczekiwaniu na cios, ale tym razem potrafię pohamować popędy.

– Przysięgam na Hudson. – Nachylam się i przerywam nożem jego więzy na nadgarstkach i kostkach.

Ranald przez chwilę nie wierzy w to, że jest wolny.

Podrzucam w dłoni narzędzie, łapię za ostrze i znów rzucam go w powietrze. Książę przygląda mi się i powoli wstaje z krzesła. Adrenalina zaczyna pędzić przez żyły.

Księciunio jest szczupły, ale nie brakuje mu muskulatury. W końcu służył w wojsku, a nie sądzę, by dawali mu jakiegokolwiek fory z racji urodzenia. Ale sparingi z kolegami, którzy boją się skrzywdzić jego szlachetną twarzyczkę, nie sprawią, że mnie pokona.

Ranald zrywa się do biegu, ale w tej samej chwili rzucam nożem. Obraz zwalnia, widzę dokładnie, jak ostry koniec przeszywa powietrze tuż przy jego policzku, a on staje jak wryty.

– Co? – pryham i rozciągam mięśnie karku. Uśmiecham się wściekle, niepohamowany głód zrobienia mu krzywdy pulsuje płytko pod skórą. – Sądziłeś, że to będzie czysta walka?

– Ty... – warczy i rzuca się na mnie z pięściami.

Śmieję się z głębi trzewi. Unikam ciosów, a on w rozpedzie prawie wpada na ścianę. Odwraca się, furia lśni w jego oczach. Mógłby sięgnąć po nóż, ale adrenalina chyba przyćmiewa mu rozsądek. Chyba żałuję, że tego nie robi.

– Lubisz, jak się pod tobą wije? – syczy, przyglądając mi się spod byka. – Dobrze smakuje używana cipka?

Uśmiech zastyga mi na ustach jak przyklejony i sztuczny wytwór mojego ciała.

– Poruszyłem strunę, co, Mason?

Drzę w oczekiwaniu. Oceniam jego chujową posturę i już obmyślałem, jak wyczyszczę krwią każdy zakamarek tego pomieszczenia.

Ranald czeka.

Ja też. Zastanawiam się, który z nas pęknie jako pierwszy.

Zaciskam dłonie w pięści.

Cóż, jednak ja.

Podchodzę, a on się nie cofa. Na tych wąskich ustach zastyga perfidny uśmiezek. Jest ode mnie wyższy, niewiele, ale jednak.

– Koniec zabawy. – Mój głos brzmi złowieszczo, jest niski i brzydki. – Siadaj.

– Nie jestem psem. – Ranald spluwa mi pod nogi. – Mieliśmy walczyć. – Popycha mnie, ale ani drgnę.

– Siadaj – warczę. W mojej piersi narasta dudnienie, a krew zaczyna szumieć w uszach.

Świat zwalnia. Widzę w jego oczach panikę, jak spina mięśnie, by zerwać się do ucieczki. Więc działam pierwszy. Uderzam głową w jego, Ranald traci równowagę. Korzystam z okazji i popycham go na krzesło.

Jego dupsko z łoskotem opada na siedzisko. Przewracam mebel razem z nim. Księżę krzyczy. Siadam na nim okrakiem.

– Nie możesz mnie zabić – mówi cicho.

Z jego brwi płynie krew, a mnie zaczynają nawiedzać obrazy morderowanego Cassiusa. Jego usta, które szepczą słowa, ale nie chcę ich słuchać. Potrząsam głową.

– Nie możesz...

Jego wzrok błądzi po mojej twarzy, zamglony od uderzenia i upadku na plecy.

– Czyżby? – pytam, ale doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

*Kurwa.*